

Wandale nas rozpieprzyli

- Tak, walka o Teatr Polski jest polityczna. Bo jest przeciwko urzędnikom, politykom niemal wszystkich opcji.

Bo kopano nas w dupę z prawej i z lewej strony - mówi Ewa Skibińska, gwiazda największej wrocławskiej sceny, która po latach z niej odchodzi.

ROZMOWA Z
EWA SKIBIŃSKĄ

MAGDA PIEKARSKA: To garderoba, w której zaczynałaś pracę w Polsce?

EWA SKIBIŃSKA: Nie, tamta była na Scenie Kameralnej. Ale w tej też długo „mieszkałam”. W garderobach rodzą się najbliższe przyjaźnie. Na początku z Jolką Fraszyńską. To były fantastyczne czasy. Jak myśmy szalały! Kiedyś Jolce kupiłam w prezencie wibrator, taki ogromny, na przysawkę. To było za dyrektora Jacka Wexlera. I prosiłyśmy go: „Panie dyrektorze, niech pan nas odwiedzi w garderobie”. Migał się, ale w końcu przyszedł. Spojrzał i ręce załamał: „Pani Ewuniu, pani Jolu, ile można...”. No, bardzo swobodnie się tu czułyśmy.

Teraz, przy „Wycince”, siedzę tu z Anią Ilczuk - nasze kostiumy wiszą obok siebie, na jednym wieszaku sukienki Jeannie Billroth i Miry.

Jak to się stało, że się tu znalazłaś?

- Przez ojca. I z przekory. Byłam w podstawówce, ojciec prowadził kabaret w klubie kolejarza na Nadodrze, potrzebował dziewczynki do spektaklu. Na propozycję, żebym to była ja, powiedział: „Nie, ona się nie nadaje”. No i na przekór zaczęłam się interesować tym, do czego się nie nadaję. Biegałam na zajęcia w Młodzieżowym Domu Kultury, do Zielonej Łatarni, do Współczesnego na spektakle. Podglądałam próby; wchodziłam tylnym wejściem, pewnym krokiem, a potem zakradałam się na balkon i kładłam się na podłodze, między fotelami.

Za dyrektora Kazimierza Brauna we Współczesnym czy Jerzego Grzegorzewskiego w Polskim widziałam wszystkie spektakle, które skleity mi się w jedną całość. Dlatego rozumiem tych naszych widzów, którzy z namietnością wszystko chłoną. I wierzę im, kiedy mówią mi, że w „Wycince” dostrzegają przedłużenie mojej postaci ze „Snu nocy letniej” czy „Poczekalni”.

Marzyłaś, żeby zostać aktorką?

- Mama marzyła, że będę lekarką. Balam się jej powiedzieć o moich planach zdawania na PWST. Uznałam, że tak ważna rozmowa nie może odbyć się w domu. Zadzwoniłam do niej do pracy, powiedziałam, że musimy się spotkać w parku przy teatrze lalek, bo mam jej coś bardzo ważnego do powiedzenia. Przyszła na miękkich nogach, przekonana, że jestem

NATALIA KABANOW



Ewa Skibińska

w ciąży. Jak usłyszała, o co chodzi, odetchnęła. I jakoś przelknęła to moje aktorstwo. A miejsce było istotne - z jednej strony teatr, z drugiej fosa, w której wcześniej chciałam się topić.

Topić? Dlaczego?

- Bo miałam poprawkę z matematyki. Krążyłam wokół, zastanawiając się, czy wystarczy mi odwagi, żeby zakończyć to cierpienie, poniżenie i hańbę. Dbałam o wizerunek i przez tę poprawkę myślałam, że świat się kończy. A potem teatr mnie uratował przed nieszczęściem szkoły, która była nudnym, koszmarnie wypaczającym miejscem. Ten ciągły wyścig, porównywanie do większej grupy, w której zawsze znajdowało się dwadzieścia osób grzeczniejszych, posłuszniejszych, bardziej skoncentrowanych ode mnie - to wszystko sprawiło, że traciłam wiarę w siebie. A jak stałam pod teatrem i mijaly mnie Iga Mayr albo Danuta Balicka, i przez ulamek sekundy ocierały się o mnie, i czułam

zapach ich perfum z Pewexu, wiedziałam, że dotykam magicznego świata.

Jaki był ten teatr, w który wchodziłaś w 1985 roku?

- Nie był w złym momencie, ale na pewno nie w pierwszej lidze. Cztery lata wcześniej opuścił go Grzegorzewski - miasto źle się z nim obeszło, nie doceniło jego talentu. Ale żyli jeszcze Igor Przegrodzki i Iga Mayr - ona i Teresa Sawicka były czynnymi aktorkami, a przy tym profesorkami w naszej PWST, skąd wylapywały kolejne osoby. Tak się stało że mną, Henrykiem Niebudkiem, Miłkiem Reczkiem, Krzysiem Draczem, Jolą Zalewską.

Łatwo było wejść w ten zespół?

- Trudno, bo to był jeszcze czas, kiedy w teatrze obowiązywały hierarchie, podziały na starych i młodych, doświadczonych i początkujących. No i mnóstwo zasad dotyczących przebywania na scenie.

Ja od początku miałam problem z tymi teatralnymi regułami, chcia-

łam inaczej, po swojemu, ale musiałam się podporządkować.

Byłam potwornie zbuntowaną osobą. Po debiucie w Polskim, w „Historii” Gombrowicza w reżyserii Jacka Bunscha, przyszkoliłam pracę z Andrzejem Białym przy „Jak zwykle po końcu świata” Rafała Wojaczka. Byłam rozczarowana pracą, zespół kompletnie nie wiedział, co robić, a reżyser - co nam powiedzieć. No i to szuszenie za kulisami, brak otwartej rozmowy. Byłam tak zbuntowana tą atmosferą, że na tydzień przed premierą rzuciłam rolę. Nie wiedziałam wtedy, że tak nie można. Przyszłam do szkoły, do Teresy Sawickiej, i mówię: „Pani profesor, ja tam nie wrócę, nie mogę”.

Straszną awanturą się to skończyło, dyrektor mnie straszył, że po czymś takim nie dostanę angażu w całej Polsce. Ale ja się zaparłam: nie i nie. Dopiero Teresa Sawicka mnie przekonała. Ale po tym wszystkim poszłam do kolegów z zespołu i wygarnęłam im. Powiedziałam: „Jesteście

nieszczerczy, plotkujecie na reżysera, a nie powiecie mu wprost, co i jak”. No, byłam niezłą zadymiarą.

Gwiazdy nie były dotknięte?

- Pewnie tak. Może dlatego Przegrodzki tak dawał mi popalić. Bywał złośliwy, a przy tym piekielnie spostrzegawczy - zauważał słabe punkty młodego aktora i bezlitośnie je punktował. Dla młodej dziewczyny, która w teatrze dopiero zaczynała, było to bolesne. Pamiętam próby do „Śmierci Dantona” - trzy razy przerwałam scenę, bo nie mogłam czegoś poczuć, odnaleźć w sobie. No i Igor nie wytrzymał. „A jaki seks musi być z tobą trudny!” - skomentował wreszcie. Oj, zabolalo. Wtedy myślałam: „Czego on chce?”. Teraz patrzę na to jak na takie profesorsko-ojcowskie napominania. Poza tym Igor miał indywidualność, co rekompensowało wszystkie jego wysoki.

Dziś mamy bardziej kumpelskie relacje. Ale charakter mi pozostał. Jak później, jako dyrektorkowej, zdarzyło mi się narozrabiać, mówiłam kolegom: „Boże, gdybyście mnie znali wcześniej. Bo ja zawsze taka byłam, nawet gorsza, tylko teraz mi nie wypada”.

Masz jakieś rytuały przed wyjściem na scenę?

- Generalnie chodzi o to, żeby przed wyjściem na scenę usilnie o tym nie myśleć. Na przykład książka daje szansę na ucieczkę w inny świat, z którego się wyrwasz na pięć minut przed spektaklem.

Tuż przed wypijam mocną kawę u pani Halinki w naszym bufecie. Do niedawna mieliśmy jeszcze także rytualne spotkanie w kółku, przy papierosie. Żeby wymienić energię. No ale teraz nie możemy tam palić, co jest o tyle śmieszne, że na scenie siedzimy potem w kłębach dymu.

Pamiętasz, kiedy ten teatr z gwiazdami zaczął się zamieniać w gwiazdorski zespół?

- Jerzy Jarocki był pierwszym reżyserem, który pokazał nam, co to jest praca zespołowa, jak nawzajem zależyśmy od siebie na scenie. Owszem, wciąż jeszcze zdarzała się rywalizacja. Starsza koleżanka potrafiła mi powiedzieć na owacjach: „Dlaczego tak do przodu wyrwasz? Nie wychodzi przede mną”.

Jarocki był wymagający, dawał nam popalić, ale stworzył zespół. Choć u mnie po tym wlocie pojawiło się rozczarowanie. Bardzo boleśnie odczuwałam, że wymyślił dublurę w „Kasi z Heilbronn”, chociaż mówił o niej od początku. A ja nie tak wyobrażałam sobie wspólnotę reżysera z aktorem.

Kasię zagrała Kinga Preis.

- Mialiśmy grać na zmianę. A ja rzuciłam rolę po raz drugi, tym razem skutecznie, tuż przed premierą. Na zasadzie: biorę wszystko albo nic. I nie wystarczyło mi, że Jarocki powtarzał, że to ja lepiej zagrałam pierwszy akt, a ona drugi. Plakałam, schudłam strasznie, do dziś ten spektakl stoi wysoko na liście moich niespełnionych nadziei. A Jarockiego tak zniechęciłam, jak wcześniej pokochałam.

Krystian Lupa nigdy cię nie zawiódł?

- Nie. Do dziś to pod każdym względem wzór idealnego mentora,

pedagoga, mistrza, reżysera. Przy nim poczułam bluesa. Lupa czerpie z tego, co człowiek ma w sobie. U Jarockiego to było bardziej siłowo odzyskiwane, a Lupa sam się wypuszcza w takie niewiadome, funduje sobie dyskomfort, potrafi też zejść ze swojej drogi na korzyść marzeń aktora. Praca u niego jest jak mistrzowski kurs, rodzaj wtajemniczenia, przejęcia na inną stronę mocy. Dostajemy od niego narzędzia do poruszania emocjami widzów, a nie tylko produkowania kolejnych fajerwerków.

A przy tym ciągle od nas czegoś chce, nieźle nas rozlicza po każdym spektaklu. Teraz np. czytam, że wczoraj była pustka w drugim akcie. Że bezwstydnie kompromitowaliśmy swoje postaci. „Okropne to było, tandetne, żenujące. Karykaturalna farsa”. **Zawsze tak! Maile wam wysyła?**

- Po każdym spektaklu. O, popatrz „Im mniej wyobraźniowego paliwa przynosimy, tym więcej i bardziej kurczowo od siebie wymagamy”. I na koniec pisze jeszcze, żeby nie trwonić energii po spektaklu. Bo u Lupy praca nad rolą jest permanentna, nie kończy się zejściem ze sceny. Ja zabieram swoją Billroth do domu. **Chyba niełatwo się z Polskim rozstać?**



Wolałabym móc powiedzieć, że odchodzę z potrzeby rozwoju, że jestem tu w zgodzie z sobą. Ale tak naprawdę to jest ucieczka z tonącego okrętu. Bo ta scena, przed momentem najlepsza w kraju, rozpada się na moich oczach

- Jadąc dziś do teatru, zdałam sobie sprawę, jaki kawał życia tu zostawiam. Ta świadomość do mnie dociera właśnie teraz, kiedy czuję, że stoję na wylocie. I nie mam złudzeń, że nasz zespół wygra tę walkę, że wydarzy się jeszcze coś niespodziewanego...

Wolałabym móc powiedzieć, że ta decyzja wypływa wyłącznie z potrzeby rozwoju, że jestem tu w zgodzie

z sobą. Ale tak naprawdę to jest ucieczka z tonącego okrętu. Bo ta scena, przed momentem najlepsza w kraju, rozpada się na moich oczach. Owszem, mam w sobie gotowość na tę zmianę. Jestem ciekawa, co może się udać w Powszechnym po dwóch sezonach dyrekcji Pawła Łysaka, które wciąż są budowaniem. Jest tam dobry zestaw reżyserów i fantastyczny dyrektor.

Mnie bardziej niż moje własne odejście trapi fakt, że to miejsce umiera. Wrocław to moje miasto, zostawiam tu rodzinę, przyjaciół, tych wszystkich ludzi, którym teatr jest potrzebny do życia. I zabiera im się tę przestrzeń, która im się należy. Bo czy naprawdę jest nam potrzebny jeszcze jeden teatr rozrywki i lektur szkolnych?

Nie wierzę, żeby te nasze zrywy i nasza rozpacz były poza polityką - tym różni się od niektórych moich kolegów.

Kobiety na czarno na ulicach i wy z czarną taśmą na ustach?

- No i władza, z którą nie można prowadzić dialogu, bo temat teatru kompletnie jej nie interesuje. A jeśli już, to nie jako przestrzeń wolności, ale budynek, w który trzeba pompować pieniądze. I te wymyślone konkursy, żeby przepchać swojego. Tak, ta walka jest polityczna, bo jest przeciwko urzędnikom, politykom niemal wszystkich opcji. Bo tutaj kopano nas w dupę z lewej i z prawej strony.

W Polskim stara bieda była nie do zaakceptowania, ale nowa tym bardziej. Brak pieniędzy, przeciekający dach, szef pracowni, który przestał pracować, bo został związkowcem

- to wszystko były patologie. Ale nowe jest straszne. Nie wiem, jak żyć bez sztuki. Przez lata marudziliśmy, że nie trzymamy się razem, że tak wiele nas dzieli, że mamy różne gusta, priorytety. A teraz wandalę weszli, rozpieprzyli wszystko i okazało się, że bieda nas połączyła.

Za czym będziesz tęsknić?

- Za kolegami. Za codzienną twórczą pracą, poszukiwaniami, wzajemnymi kompromitacjami, bo to nie jest tylko wspólnota w sukcesie. No i za Wrocławiem, który zawsze będzie dla mnie najbliższym miejscem. Tej więzi nie można przeciąć, bo łączy się z dojrzwianiem, domem, rodziną. Z tymi wszystkimi momentami, kiedy potrzebowałam opieki i wsparcia i dostawałam je. Kiedy wysiadałam na Dworcu Głównym, nawet jak był brudny i brzydki, a okoliczne ulice pogrążone w ciemnościach, widziałam neon „Dobry wieczór we Wrocławiu” i wiedziałam, że jestem u siebie.

Wiesz, marzenia rzadko się spełniają. Częściej zdarzają się niespodzianki - to, czego nie jesteś w stanie przewidzieć, jest ci dane zamiast tego, o co walczysz. Zgodnie z tą zasadą nie drę szat. I idę w nieznanne. o

ROZMAWIAŁA MAGDA PIEKARSKA